

Opowiedz nam, ojcze, historię początku

Emma Popik

Opowiem wam historię odnowy mojego świata. Był wpierw zdruzgotany, a potem skazany na zagładę. Czyhano, aż skona samotnie, siedząc wokoło i trwając w sytym zadowoleniu. Już był prawie martwy. Skruszyła się jego materialność. Pozostały wypalone kikuty domów i puste ulice. Wśród płonącego asfaltu ulic przemykały się grupy ostatnich mieszkańców. Ich umysły były ograniczone. Z ich pamięci wysypały się obrazy i słowa. Nie mieli od dawna idei.

Była wśród nich jednak pewna opowieść. Mówiła o wodospadzie i stała się dla nich wodą życia. Historię o wodospadzie opowiadał stary kaleka, którego uznali za ojca. Od siły jego ducha i od wielkości jego opowieści zaczął się świat.

Stał na krawędzi skały, a za jego plecami, w głębi, wisiała mgła z kropel wody. Unosiła się z wodospadu, który z hukiem wpływał w przepaść. Chłopiec był tu pierwszy raz. I ostatni, jak się później stało. Patrzył na pagórki, na których kłębiła się roślinność. Gęste drzewa się łączyły ze sobą konarami, a liany je splatały. Wołały do niego ptaki i odzywały się zwierzęta, których było bardzo dużo. Kopała modrego nieba przykrywała ten piękny krajobraz, nasycony kolorami, podkreślony bielą skały, srebrem wody, zielenią dżungli.

Stał blisko krawędzi, trzymając się ręki ojca, który przyprowadził tu innych. Wszyscy dostali spodnie i koszule i byli zadowoleni. Jeden z nich, raczej obcy, miał na ramieniu urządzenie, którym robił zdjęcia. Ten człowiek nie należał do gromady. Wyglądał również inaczej. Chłopiec nie wiedział, kim on jest, gdyż był jeszcze małym dzieckiem. Ojciec wziął go ze sobą na tę wyprawę, za którą mieli dostać coś, na co wmówili pieniądze i co wprawiało ich w ekstazę. Chłopiec niczego nie rozumiał, podziwiał kolory i widoki, które, jak później się okazało, wryły się w pamięć. Odczuwał również radość ojca i całej gromady, gdyż wyprawa była przyjemna i na końcu mieli dostać to, co wywoływało w nich ekstazę.

Mężczyzna się obudził i jeszcze przez chwilę nie otwierał oczu, aby patrzeć na swój piękny sen. Śnił go bardzo często od dziesiątków lat. Było to najpiękniejsze wrażenie, jakiego doznawał. Niczego więcej nie pamiętał ze swego dzieciństwa, tym bardziej, że potem wszystko się zmieniło. Cały świat utracił kolory i został zasypany szarym popiołem, a ultramarynowe niebo zasnuł czarny dym. Już nie pamięta, od jak dawna mieszka w mieście, czy raczej w tym, co pozostało po domach i ulicach. Nie wie, dlaczego zbladły kolory i co się stało z dżunglą i z wodospadem, i gdzie podziały się zwierzęta, krzyczące z głębi zieleni.

Leżał wśród gruzów na barłogu. Od deszczu ochraniał go nawis dawnego sufitu. Pod jego łóżem ze skrzyń i desek, bardziej przypominających arkę, piętrzyła się

góra rumowiska. Tworzyły ją pokruszone ściany i ziemia, wypluta z wnętrza. Góra zarosła drzewami i trawą. Jego łoże stało na samym jej szczycie, co dawało starym widok na większą część miasta.

Wyglądało tak samo jak i jego siedlisko: pagóry gruzów porośnięte rzadkimi drzewkami, wypiętrzającymi się spomiędzy osmalonych na czarno ścian.

Leżał jeszcze z zamkniętymi oczami, czując na powiekach chłodne krople wody.

- Zbudź się, zbudź!- dobiegł go głos.

To był chłopiec, Halber, najstarszy ze wszystkich. Przybiegał codziennie wczesnym rankiem, by wysłuchać opowieści. Zapewniała mu radość na cały dzień.

Dzisiaj jednak w okrzyku brzmiał strach. Nie powiedział jednak, czego się boi, tylko ukucnął przy łóżku starego.

- Opowiadaj! – poprosił.

Położył obok siebie parcianą torbę, najważniejszy przedmiot w jego codziennej krzątaniu. Od jej zawartości zależało jego życie. Dzisiaj torba była wypchana.

- No, mów!

Podniósł ku niemu twarz i oczekiwał na pierwsze zawsze takie same zdanie: „Opowiem wam historię o wodospadzie”.

Mężczyzna opowiedział to, co wyśnił przed chwilą. Nie zaniedbał rozsunąć kształtów i podbarwić kolory. Mówiąc, obserwował w zadowoleniu, jak w oczach chłopca gasł strach. Pojawiały się w nich kolory wody i drzew. Chłopiec

całkowicie zanurzył się w piękno tamtego świata. Stary codziennie prowadził go słowami do wodospadu, mimo to nigdy nie zaspokoił pragnienia chłopca. Zawsze od nowa chciał słuchać historii o kolorach i wołających zwierzętach. Słyszając pomruki dobiegające z głębi zielonych liści, czuł siłę zwierząt i prostował chude plecy.

Kiedy opowieść się skończyła, powrócił wzrokiem z dżungli i spojrzał na starego.

- I woda była naprawdę? – zapytał, jak zwykle. – Leciała hucząc? Było jej dużo i nigdy nie ubywało?

Mężczyzna przytakiwał głową, a chłopiec znowu odczuwał świeżość mgły z rozpylonych kropli. Tak było za każdym razem, gdy zadawał to pytanie i otrzymywał tę samą ożywczą odpowiedź. Podniósł brudną buzię i wyobrażał sobie, jak spływa po niej chłodna woda i zwilża mu spragnione usta. To odczucie przypomniało mu, z czym tu przyszedł.

Sięgnął poza siebie, przyciągając torbę. Wyjął z niej plastikowy pojemnik z brunatną cieczą. Nie wyglądała zachęcająco, mimo to chłopiec powiedział z dumą.

- Zdobyłem je, byłem pierwszy. To jest biopicie. Bardzo zdrowe. Tak mówili w punkcie opieki.

Postawił pojemnik na szerokiej krawędzi łoża. Mężczyzna nie miał ochoty na tę brudną ciecz. Wiedział, że ciecz będzie smakować tak jak wygląda. Nie chciał jednak sprawiać chłopcu przykrości, bo on wszak troszczył się o niego i to było

cenne. Nie wszyscy tu w dzielnicy mieli taką szansę i mogli liczyć na szybkie dziecko, które dowie się, gdzie rozdają jedzenie tego ranka i będzie tak sprytnie, by zdążyć ustawić się w kolejce przed innymi. Chłopiec nie znał innego świata i doskonale się dostosował do realiów tego, w którym żył. Odkręcił pojemnik i podniósł do ust, by upić kilka łyków. Nie pomylił się co do smaku. Wątpił również w jego zdrowotne działanie.

Halber czekał, aż mężczyzna skończy się posilać i zakręci z powrotem plastikowy pojemnik. Siedział nieruchomo, rozmyślając. W punkcie opieki zobaczył nowe dla niego przedmioty. Usiłował zrozumieć, co widział, ale nie znał słów, aby nazwać rzeczy. W mieście, w jego naturalnym środowisku, poruszał się wciąż pośród tych samych spalonych domów. Słowa wypadały z ich słownika.

- Przyjechało jeszcze więcej samochodów i kordon wokół miasta jest o wiele bardziej szczelny. Na pewno już nikt nie będzie mógł odejść i przedostać się do świata zewnętrznego.
- Martwisz się, że nie wyruszysz wkrótce na wielką wędrówkę, by zobaczyć wodospad? – zauważył mężczyzna.

To było największym marzeniem chłopca i celem jego życia. Chłopiec przytaknął kiwnięciem głowy, a potem podjął swoją opowieść. Zostawił jakby przez zapomnienie pojemnik z ożywczym płynem na krawędzi łóżka.

- Na samochodach były namalowane duże czerwone koła. Widziałem je na drzwiczkach, na plandekach i z tyłu samochodu, czyli z każdej strony.

- Pewnie chodziło o to, żeby nikt nie pomylił tego samochodu z innymi – zauważył mężczyzna.
- Ale co to czerwone koło może oznaczać?
- Czerwone gardło zwierzęcia.
- Paszcza, która połyka? – dopytywał się chłopiec.
- A widziałeś jakichś ludzi przy samochodach?
- Tak. Nosili żółte ubrania. Sztywne i szeleszczące przy każdym ruchu. I takie same buty, tworzące jedną całość z kombinezonem.
- Jakie mieli twarze?
- Nie wiem, zakrywały je maski. Z przodu miały niewielką szybkę. Od maski prowadziła rurka do pojemnika wiszącego na piersiach.
- Nie oddychają powietrzem – zauważył mężczyzna.
- Czy są ludźmi? – zapytał z niepokojem chłopiec
- Są – szepnął starzec.

Usiłował uciszyć jego strach, lecz i on sam się bał. Kiedyś widywał tak okrytych ludzi. Tak się ochraniali przez zarazą z zewnątrz, broniąc się przed zarazkami choroby. Działo się tak w czasach wielkiej zarazy, która pochłaniała zwierzęta. Mieli wtedy ze sobą urządzenia do dezintegracji zarażonych sztuk. Nieśli w ręku rurki z dziurkami na końcu. Kiedy naciskali włącznik wytryskiwała z nich ciecz pod wielkim ciśnieniem. Polewali nią zwierzęta. Kiedy tylko strumień oblał zwierzę, zamieniało się na bezkształtną galareteę.

Teraz jednak nie było zarazy i nie istniała potrzeba niszczenia zarazków choroby. Nie było również chorych zwierząt. Kogo więc chcieli polewać?

Czyje ciała miały się zamieniać w bezkształtną galarete?

- Czy mieli ze sobą długie cienkie rury?
- Nie przy sobie – zaprzeczył chłopiec.
- Czy mieli na plecach zbiorniki?
- Byli bardzo niecierpliwi, szykowali się na akcję. Miała nastąpić wkrótce. Chodzili niecierpliwie wokół samochodów, czekając na godzinę rozpoczęcia działań. Było im gorąco w skafandrach. Słyszałem, że wspominali o fatalnym zaopatrzeniu. Jakichś urządzeń nie dowieźli na czas, za co winili tych z orderami. Może o te urządzenia im chodziło?

Mężczyzna milczał.

- Te maski – zaczął chłopiec – nie pozwalają im oddychać naszym powietrzem.

Jest dla nich trujące, a dla nas? My nie mamy masek – dokończył ze strachem.

Nagle usłyszeli głośne wycie, potem syczenie wiru. Był to wir powietrza i gazów, który pędził do przodu, obracając się ze znaczną prędkością wokół swojej osi. Tuż obok ich pomieszczenia przemknęło wrzeciono, jak je nazywali. Wrzeciona były pozostałością po działaniach wojennych, jakie się kiedyś toczyły w tym mieście. Zakopano tu tysiące min próżniowych, drzemały w ziemi niebezpieczne. Wojsko nie знаło sposobu ich zneutralizowania. Jediną możliwością był czas. Należało czekać, aż będą samoistnie wybuchać po kolei. Czekano długo. Ludzie z zewnątrz nie mogli

ryzykować własnym życiem, przychodząc do spustoszonego miasta, szukać min. Mogły być wszędzie. Wiedzieli poza tym doskonale, że nie można ich usunąć.

Po zakończeniu działań wojennych miasto otoczono kordonem i zamknięto. Zakazano wstępu komukolwiek, czy to był przedstawiciel Human Rights Watch czy producent odżywek lub też przedsiębiorstwo rozbiórkowe, liczące na zysk.

Potem przysłała nieznana choroba. Zdziesiątkowała pozostałych mieszkańców miasta, ale nie to było najstraszniejsze. Jej wynikiem była zła sława, wywołująca strach w świecie. Odtąd nikt już nie mógł opuścić miasta. Każdego uważano za nosiciela niebezpiecznych genowirusów.

Miasto i pozostałych mieszkańców objęła opieka karmiąca ręka świata. Dostarczano żywność i wszystko, czego by potrzebowały takie obdarte brudasy koczujące wśród ruin. Świat, zadowolony ze szczodrości, czekał w poczuciu spełnionego obowiązku. Ostatni mieszkaniec powinien już dawno umrzeć.

Oni jednak trwali na ulicach, gdzie osypywał się gruz i spadały bloki betonu ze stropów, gdzie uaktywniały się bomby i czyhała przyczajona zaraza. Żyli zbyt długo i to ich głupie trwanie przy swym nic nie wartym życiu, wyczerpywało cierpliwość ludzi. Mieszkańcy miasta wciąż koczowali beznadziejnie wśród spalonych domów, chodzili po mieście, omijając miny próżniowe. Eksperci z zewnątrz zapewniali, że ich nie można uniknąć.

Demokraci z zewnątrz zaczęli zadawać pytania rządowi o prawa tych istot. Rząd Liberałowie podkreślili czerwonym ołówkiem kolumnę z wydatkami łożonymi na utrzymanie miasta. Karmiąca ręką świata zaczynała się zaciskać w pięść. Szykowano się do zakręcenia kraniku na rurce kropłówki.

Chłopiec martwił się tym, co zobaczył i usłyszał, choć nie rozumiał, jakie grozi im niebezpieczeństwo. Nauczył się grać ze śmiercią czyhająca na każdym niemal kroku. Umiał unikać min i przemykać pod ścianami obok świdrującego powietrze wiru. Przystał myśleć o niezdefiniowanym niebezpieczeństwie ze strony ludzi w żółtych skafandrach.

Najbardziej zajmowały go sprawy, którymi żył na co dzień. Właśnie zdarzyło się coś nadzwyczajnego i czekał tylko na sposobność, by o tym mężczyźnie opowiedzieć. Przypadł do ziemi i wczołgał się pod łoże. Kiedy ucichło przerażające wycie i uspokoiło się oszalałe powietrze, wypełził.

- Powiem ci, powiem- nie wytrzymał.
- Powiedz, słucham.
- Chłopcy z tamtej dzielnicy mówili o jakimś odkryciu. To jest coś wielkiego. Kopali w ziemi w pagórkach od miesięcy i wreszcie pod spodem, pod kolejną warstwą zobaczyli kopuły. Były olbrzymie.
- Ciekawe, co kryją? – zapytał mężczyzna. – Może to budynki?
- Oni też tak mówili.
- Może budynki zachowały się w dobrym stanie?

- Myślisz, że są całe, niezburzone?

Nigdy nie widział budynku ze wszystkimi ścianami i dachem.

- Jeżeli to prawda – zaczął mężczyzna – to byłoby wielkie odkrycie.
- Tak im mówiłem. A gdyby tak udało się odkopać budynki całkiem i wejść do środka? – marzył chłopiec. – Zobaczyłbym, jak kiedyś żyli ludzie, jak wyglądali i czym się zajmowali?
- Opowiadałem ci.
- To co innego zobaczyć na własne oczy – uświadomił mu chłopiec.

Wyobrażał sobie, co może jeszcze się kryć we wnętrzu tajemniczej budowli i dodał. – A gdyby tam w środku byli ludzie? Zobaczyłbym, jak leżą w łóżkach, siedzą przy stole i gotują jedzenie.

- Nie mogli przecież przeżyć – uświadomił mu mężczyzna.
- Wiem – przyznał chłopiec. To jednak nie wytrąciło go z marzeń. – Na pewno wyglądaliby jak zamarznięci. Położyłbym się na dachu, bo on jest przezroczysty, i patrzyłbym, jak siedzą i leżą w swoich prawdziwych domach.

Mężczyznę przeraził praktycyzm chłopca, który chciał czerpać radość i naukę z widoku nieżywych ludzi. Rozumiał jednak, że wrażliwość byłaby dla niego zabójcza. Rozejrzał się bezradnie po wypalonych domach, które dawno się rozpadły. Tu nie było mieszkań ani rodzin, dorośli w pierwszym pokoleniu wymarli w wyniku chorób wojennych. Kolejne pokolenie nabyło odporności i

dorastało. Dziećmi nikt się nie opiekował. Nie było czułych matek wyrabiających wrażliwość i solidnych ojców, zapewniających oparcie.

Młode dzikie pokolenie nie miało rodzin. Serca tego dziecka nie przenikało oczekiwanie za ojcem wracającym z pracy. Nigdy nie tęskniły za kuchnią, w której parują i pachną gotujące się potrawy. Jako dzieciaki nie siedziały przy stole, dyndając nogami w oczekiwaniu na swoje porcje. Nikt im jedzenia nie nakładał na talerze. Nie znały pewności, że go nigdy go nie zabraknie. Ojców ani matek nie było, żadne dziecko nie doświadczyło życia rodzinnego. Pragnienie doznania opieki było jednak bardzo silne. Zaspokajało je choć trochę oglądanie nieżywych ludzi, nieruchomo siedzących przy stole. Chłopiec miał nadzieję, że właśnie taki obrazek zobaczy pod szklaną kopułą dachu.

Nagle nieopodal rozległ się rumor. Na ten dźwięk chłopiec się zerwał i uciekł. Mężczyzna jednak tylko się uniósł i podparł kłębami łachów, poduszkami i wałkami z sof i kanap. Pomiędzy domami ukazała się Mała Dziewczynka z Czerwoną Kokardką. Tak ją nazywano, gdyż zawsze nosiła czerwoną szarfę opasującą czoło i kryjącą lewe oko. Wszyscy uważali, że Mompka nie ma tego oka i pod opaską ukrywa wstrętny dół. Dziewczynka miała fantazję, robiła sobie opaskę czasem z paska od szlafroka, innym razem z kawałka flagi.

Mężczyzna jednak był zbyt doświadczony, by uwierzyć w kamuflaż Dziewczynki. Uważał, że ma dwoje oczu. Mompka, choć mała, była sprytna i przewidująca. Poza tym znała życie, chociaż mogła mieć nie więcej niż dwanaście lat. Wiedziała, że wiek ją nie obroni. Zostanie uznana za kobietę i

napadnięta. Przed gwałtami broniła się w jeszcze inny sposób, zachowywała się w sposób nieznośny i wrzaskliwy. Robiła głupie miny i się wykrzywiała. Do wszystkiego się wtrącała i robiła bałagan. Nie było rozmowy, która nie skończyłaby się kłótnią, a jej docinki i przytyki doprowadzały wszystkich do wściekłości. Bali się jednak ją zaatakować słowami w obawie przed jej ciętym językiem i trafnymi docinkami. Ich wściekłość dowodziła, jak pilną jest obserwatorką cudzych zachowań i jak dobrze widzi wady. Nikt z nią jednak nie chciał rozmawiać. Gdzie tylko się pokazała, tam odwracano się plecami. Wielu na jej widok wstawało i odchodziło od ogniska.

Mężczyzna doceniał jej trafny sposób postępowania. Wiedział, że Mompą jest w rzeczywistości inna, ale swej prawdziwej natury nie pozwoli nikomu zobaczyć. Teraz również ukrywała się, pokazując wszystkim.

Stąpała z hałasem, kopiąc kamienie. Wrzeszczała i co chwilę wykrzykiwała brzydkie słowa. Ujmowała do ręki to cegłę, to ukruszony kawałek betonu i rzucała nim przed siebie. Wzbijała tumany kurzu. Płoszyła ptaki, które przylatywały na to ludzkie śmietnisko, karmiąc się raz odpadkami, innym razem ciałami zmarłych w swych barłogach.

Poprawił poduszki, które mu znosili przyjaciele i czekał, aż znajdzie się w zasięgu jej wzroku. Przestanie wtedy wrzeszczeć. Pokazała się w otworze po bramie, wykrzywiona, z kawałkiem cegły w ręku. Widząc go, uśmiechnęła się i upuściła cegłę.

Tuż za nią posuwała się olbrzymia i tłusta Murzynka z olbrzymim brzuchem. Było jej bardzo ciężko, z wysiłkiem podnosiła nogi, by ominąć hałdy gruzu pokryte ziemią i bloki betonowych stropów. Sterczały z nich niebezpiecznie wygięte pręty. Murzynka nie mogła usiąść, więc się oparła o ścianę i dyszała z wyczerpania.

- Jej czas zaraz przyjdzie – rzekła Momp. – Potrzebuje pocieszenia i wsparcia duchowego. Chciałaby, aby jej dziecko wiedziało o rzeczach pięknych i prawdziwych, bo dotychczas, patrząc oczami matki, oglądało tylko rozpad, gwałt i rozpacz. Niech usłyszy szmer czystej wody, śpiew ptaków i wołanie zwierząt w gałęziach drzew. Powinno zobaczyć niebieskie niebo i srebrną mgłę, unoszącą się ponad przepaścią.
- O, yeah! – powiedziała Murzynka. – O, tak, powiedz, o, powiedz nam.

Wsparła się mocniej o ścianę i zamilkła, choć pewnie w niej nie ucichł jej wewnętrzny blues. Mężczyzna milczał chwilę, a potem zaczął mówić o tym, jak był małym chłopcem i trzymał się dłoni ojca. Słyszając to Murzynka posmutniała, bo jej dziecko ani nie znało swego ojca, ani też nigdy mieć go nie będzie.

Opowiadał jej jeszcze długo o wszystkim, co zapamiętał ze swego dzieciństwa. O wiosce drewnianych chat i mężczyznach, którzy uprawiali pola, o kobietach, które się uśmiechały, piorąc odzież w strumieniu i gotując jedzenie dla całej rodziny. Wieczorem wszyscy siadali na podłodze, wokół bardzo dużego i niskiego stołu, zastawionego misami z gorącym ryżem z papryką. Jedli powoli, opowiadając sobie zwykle zdarzenia dnia codziennego.

Świat wtedy istniał i czasami kupowali w miasteczku gazety. Przybywali ludzie z zewnątrz wraz ze swoją techniką i dziwnymi obyczajami. Nie byli jednak groźni, wręcz przeciwnie, pragnęli włączyć się w życie ich społeczności, poznać obyczaje i nawet uczyli się ich języka. Kiedy świat został zniszczony, wszystko uległo rozproszeniu. Wydarzyło się to niespodziewanie i właśnie wtedy, kiedy duża grupa mężczyzn udała się na wyprawę z człowiekiem z zewnątrz, który robił filmy. Zapłacił im mimo to, że nie miał nadziei nikomu sprzedać swojej pracy, gdyż świat przestał istnieć. Powiedział, że nie wszyscy z zewnątrz są źli i na pewno cierpią jak inni, ale wtedy nikt już w to nie wierzył.

Otrzymane pieniądze pozwoliły im przetrwać pierwsze lata po rozpadzie, nigdy jednak nie powrócili do swojej wsi. Drogę zagradzały posterunki, a potem miny, i mężczyźni musieli zrezygnować z wędrówki w tym kierunku. Szli więc naprzód, do obcego świata zewnętrznego. Kiedy przyszli, musieli się nauczyć jego reguł, aby przetrwać.

Murzynka słuchała długo, powtarzając od czasu do czasu, swoje o, yeah, które było coraz cieplejsze. Słowa pokrzepiły ją bardzo na duchu. Zaczęła myśleć o tym, że być może gdzieś na świecie jest wodospad, czysta woda. Żyją tam ludzie, którzy się szanują. Podziękowała za wszystko i czując się lepsza i pełniejsza, odwróciła się i ciężko stąpając, odeszła.

Mała przybiegła po wielu godzinach. Słysząc ją było z daleka, jak wrzeszczała i śpiewała na całe gardło swoje zbójckie piosenki. Już nie musiała się bronić

przed mężczyznami, bo onegdaj zmarł ostatni dorosły, ale chłopcy szybko dorastali. Nie rzucała jednak przedmiotami, co zdziwiło mężczyznę. Kiedy stanęła, sapiąc ze zmęczenia w prześwicie pomiędzy domami, zrozumiał, czemu nie rzucała kamieniami. Jej ręce były zajęte prowiantem. Widać było, że musiała ciężko o niego walczyć, gdyż jej spodnie były podarte, a podkoszulek wyciągnięty zza paska i pocięty nożem.

- Patrz, co zdobyłam.

Usiadła obok łoża mężczyzny i zaczęła rozkładać swą zdobycz. Było tam gotowe jedzenie w pudełkach i picie w plastikowych bukłakach. Sprytna dziewczynka zdobyła nawet paczki papierosów i to o nie musiała się z pewnością bić z chłopakami. Największym skarbem była oczywiście butelka wódki, za którą można było dostać wszystko. Dziewczynka przytuliła płaską butelkę do swojej wklęsłej piersi i uniosła oczy w górę.

- Zgadnij, co sobie za to kupię?

- Nowe ubranie? –droczył się z nią.

O łachy nie było trudno. Pokręciła przecząco głową.

- Nie zgadnę – pogodził się z przegraną.

- Kupię sobie książkę! I to z obrazkami!

- Wiesz, że książek nam nie dają.

- Ale ja będę miała.

- Nie umiesz czytać.

- Nauczę się!

Pochyliła się, by schować butelkę pod łożę. Wiedziała, że nikt tu jej nie będzie szukać, gdyż było to miejsce święte.

- Będę kimś i nikt mnie nie dotknie!
- Umiejętność czytania cię nie obroni wśród gruzowiska – napomniiał delikatnie ojciec.
- Jestem bardzo ciekawa. Czasami oglądam tabliczki na rogach ulic. Wiem, że są to ich nazwy.
- Mimo że nie znasz nazw, nie zabłądzisz.
- Lubię wiedzieć.

Mężczyzna zdawał sobie jednak sprawę, że dziewczynka miała głębsze powody, by pragnąć nauczyć się czytać, wiedział, że mu je wyjawি, wystarczy poczekać i pozwolić się jej wygadać. Dziewczynka rozprostowała się i spojrzała mężczyźnie w oczy.

- Zrozumiałam, że ludzie z zewnątrz gardzą nami. Wiem więcej, nie uważają nas za istoty ludzkie. Zresztą, ja sama nie wiem, czy jesteśmy ludźmi. Wiesz – zrobiła okrągły ruch ramieniem, zagarniając okolicę – to wszystko, sam widzisz. Wiesz, jak zachowują się nasi ludzie. Całe dni kłócą się i czekają na poranek, aby biec po swój przydział jedzenia. Słyszałam, że mówili o chorobie. Podobno tak nas zmieniła, że już nie jesteśmy ludźmi.
- I jaki to ma związek z czytaniem?

- Ludzie z zewnątrz potrafią czytać. Widziałam sama. Wiesz, że udaję głupie dziecko. Pewnego poranka zauważyłam człowieka, który czytał zadrukowany papier z obrazkami. Zrobiłam minę upośledzonej umysłowo, kładąc język na dolną wargę. Nasunęłam opaskę na oko i przysunęłam się blisko. „To jedna z tych kretynek – powiedział ktoś do czytającego. Odgoń ją, ale nie dotykaj. Nie rób krzywdy, oni nie rozumieją”. „Nie zrobię krzywdy, do czasu”. –Czytający burknął, odsuwając mnie zwiniętym w rulon papierem, który przed chwilą czytał. Nagle uderzył mnie prosto w środek czoła rulonem. Nie bolało, ale było poniżające. Czulałam to, on tego nie rozumiał. Nie uważają nas za ludzi.
- Lepiej się nie zbliżać do ludzi z zewnątrz.
- Gdybym umiała czytać, uważaliby mnie za istotę ludzką. Poza tym mogłabym ukraść mu gazetę i dowiedzieć się czegoś o świecie zewnętrznym. Oni wiedzą, my nie. Dlatego nie uznają nas za ludzi. Chcę wiedzieć, dlaczego nam nic nie wolno? Dlaczego tak jest, dlaczego istnieje ten podział, kiedy to się stało? Chcę zrozumieć! – krzyknęła. –Nic nie wiem, to mnie męczy!
- Przecież tu nikt nie umie czytać, kto cię nauczy?
- Ludzie z zewnątrz, powiedzieli żartem, że mi pokażą litery. Wystarczy raz, ja wszystkie je od razu zapamiętam.
- Rozmawiasz z ludźmi z zewnątrz?

Mała nie zdążyła odpowiedzieć, bo usłyszeli kroki. Na pagórek wdrapał się chłopiec. Był również w złym stanie. Na twarzy całej czerwonej widać było ślady dłoni i pięści. Mała wyciągnęła szybko coś ze swoich zdobyczy i przyłożyła chłopcu na policzki. Był to chłodzący i gojący opatrunek. Wprawdzie mu przyniósł ulgę, ale nie uśmierzył jego złości.

- Nie wierzą mi! – wykrzyknął. – Powiedziałem im o wodospadzie! Powinniście usłyszeć ten śmiech! Jak wodospad.
- Dlaczego im powiedziałeś! – oburzyła się Momp. – Tylko nasz ojciec ma prawo opowiadać tę historię.

Nazywali mężczyznę ojcem, chociaż różnił ich kolor skóry, ale był ich jedyną opoką, nieruchomym centrum świata.

- Odkopywaliśmy ten duży budynek.
- Zobaczyłeś rodzinę? – zapytał cicho mężczyzna.

Chłopiec pokręcił przecząco głową.

– Nie było nikogo wewnątrz. Odkopywaliśmy budynek i wyrzuciliśmy dużo ziemi, całą górę. Zrobiliśmy rów naokoło budynku i mogliśmy zajrzeć do wnętrza. Nie wiemy, co to jest. Jest tam bardzo ładnie, wszędzie stoją kolorowe pudełka od sufitu do podłogi. Nie mogliśmy otworzyć drzwi, gdyż rów jest jeszcze za płytki.

Oparliśmy się na łopatach, umorusani i zmęczeni, a głód nas dręczył, i zastanawialiśmy się, co to za miejsce. Nikt nie mógł odgadnąć. Jeden z chłopaków zaczął sobie przypominać opowieści starszych o czasie, kiedy

jeszcze był świat. Powiedział, że jedzenie nie przybywało z zewnątrz. Były wtedy domy, w których jedzenie leżało na półkach. Każdy mógł sobie przyjść i je wziąć. Kiedy to usłyszeli, wszyscy mimo głodu zaczęli się śmiać. Niemożliwe jest przecież, żeby było tak dużo jedzenia! Wtedy on zaczął kręcić. Próbował wyjaśniać, że nie każdy mógł sobie zabrać, ile chce, bo musiał spełnić jakiś warunek. Powiedział słowo, którego nie zapamiętałem.

- Pieniądze? – zapytał mężczyzna.
- Tak! To znaczy, że mówił prawdę?
- Powiedz najpierw, co było dalej- domagała się dziewczynka. – Dlaczego musiałeś opowiedzieć o wodospadzie?
- Zaczęli się z niego wyśmiewać. Wiesz, jak to jest: jedno słówko, potem dwa ostrzejsze i już wszyscy drwią. Potem ktoś go popchnął, inny kopnął. Dzieciak z wrzaskiem rzucił się na wszystkich. I się zaczęło. Musiałem opowiedzieć im historię, która brzmiała o wiele bardziej nieprawdziwie. Zatrzymali się i słuchali.
- Działałeś w sytuacji wyższej konieczności – powiedział mężczyzna. – Uratowałeś mu życie.
- Ale stało się coś naprawdę strasznego – zaczął chłopiec niepewnie. Obiecałem im, że...
- Cicho! – wrzasnęła dziewczynka. – Słuchajcie!
-

Zza muru dobiegały jęki na przemian i krzyki oraz odgłosy przypominające wysiłek ponad możliwości człowieka. Dzieciaki na siebie spojrzały, a potem zerwały się, żeby zobaczyć. Po chwili chłopak powrócił.

- Co mam robić? – wywrzeszczał pytanie.
- Przegryź pępowinę i zawiąż nicią z koszuli.

Już odbiegał, gdy mężczyzna go zatrzymał. Pochylił się tak mocno, jak mógł i sięgnął butelkę wódki.

– Przyda się do dezynfekcji. Musicie wyciągnąć łożysko.

Wrzask, jaki wydawała z siebie wielka Murzynka, był trudny do wytrzymania i wydawało się, że nigdy się nie skończy. Jednak wypuściła z siebie z wysiłkiem pojedynczy, cichy jęk i to był koniec. Nie oddychała. Potem rozległ się krótki krzyk dziecka.

Dziewczynka podeszła do łoża mężczyzny i usiadła obok niego.

– Chłopiec – powiedziała.

Jeszcze się zastanawiali, co robić, kiedy zaczęły nadlatywać ptaki i z krzykiem opadać na ciało leżącej kobiety. I choć nie widzieli, jak ją szarpia, nie mogli tego znieść. Siedzieli cicho w przerażeniu, wyobrażając sobie, co dzieje się za ścianą, nie mając odwagi podnieść głowy, by zobaczyć, co ma w dziobie każdy z odlatujących ptaków.

Pierwsza ocknęła się dziewczynka.

– Musi dostać jeść.

Poszperała w swoich tobołach i oczywiście było tam skondensowane mleko, bo to przecież nieomal żelazna porcja w dostawach żywności dla ofiar. Zamoczyła w nim szmatkę oddartą ze swego podkoszulka i dała dziecku. Wielokrotnie ją moczyła, karmiąc je, aż zadowolone zasnęło. Położyła się obok mężczyzny i patrzyła na dziecko.

- Nie dostanę książki – powiedziała. – Ono nie może umrzeć, zbyt wiele mnie kosztowało.

- Co z nim zrobimy?- zadał praktyczne pytanie chłopiec.
- Musimy je zanieść jutro, gdy będziemy szli po żywność.
- Są tam lekarze – zauważył chłopiec.
- I ptaki.
- O czym ty mówisz? – zapytał chłopiec.
- Są białe i nie umieją latać. Siedzą, jakby na coś czekały.

Mężczyzna się zamyślił. Białe ptaki! Tak dziewczynka nazwała olbrzymie namioty. Przygotowano je na kwarantannę. Stoją w nich łóżka. Na nich zostaną położeni ludzie, by przeczekać chorobę. Przecież nie są chorzy. Na ile kłamstwa będą gotowi ci, którzy to przygotowali. Do czego będą zdolni ci, którzy musieli zapłacić za namioty, lekarstwa i lekarzy?

Dziewczynka wiedziała, że ptaki w mieście rozszarpują nawet ludzi, ledwo ujdzie z nich ostatni oddech. Jak ich zabiją tamte białe ptaki? Bezlitośnie sterylne i bezwzględnie tępiące zarazki na wytrawionej środkami czystości, nieprzyzwyczajonej do tego skórze?

Wkrótce w mieście nie pozostanie nikt. Żył tu, mając nadzieję, że odbuduje się miasto.

To miejsce należy do nich i tylko tu, na tym bolesnym skrawku świata, czują się jak w ojczyźnie. Gdyby go opuścili, czuliby się wszędzie wygnańcami. Zostaliby pozbawienie własnej ziemi i nie mieliby miejsca na świecie. Bo każdy ma tylko jedno miejsce na ziemi. Jest to miejsce jego urodzenia i dzieciństwa. Jego ojczyznę są przyjaciele z tamtych czasów. Dokądkolwiek pójdzie, zabierze tę pamięć ze sobą. Gdziekolwiek zamieszka, będzie tęsknił do swojej prawdziwej ojczyzny. Toteż i w tym mieście stary mężczyzna trwał, czekając, że zostanie odbudowane. Dzieci, które dorastały i to, które właśnie się urodziło, nie mieli innego miejsca na świecie. Wszędzie będą obcymi, w każdym miejscu zostaną uznani za intruzów. To musi im powiedzieć.

Jednak świat miał inne plany. Zamknął ich łańcuchem pomocnych dłoni, utrzymywał przy życiu jak bydło, któremu nie da się zdechnąć. Mijały pokolenia, ludzie nie mogli opuścić tego miejsca. Nikt w pojedynkę nie poważiłby się przejść przez biuro i strażę. Każdy wiedział, że kiedy przekroczy granice i podniesioną barierkę, stanie się zależny i nie będzie mógł wybierać swojego życia, tylko pójdzie tam, gdzie zostanie skierowany. Wyślą go gdzieś do obcego świata i będzie samotny. Więc czekali, a pomocna dłoń nie dawała im umrzeć.

Te ptaki niepokoiły mężczyznę.

- Muszę pójść sprawdzić – powiedział chłopiec – ile odkopali.

Podniósł się powoli i wsunął koszulę w spodnie.

Kiedy odszedł, dziewczynka wstała.

– Popilnuj dziecko, aby nie spadło. Musimy się spakować.

Mężczyzna nagle zrozumiał, że traci cały świat, wszystko, co ma i co jest dla niego drogie. Będzie umierał samotnie na swoim łożu, oparty o poduszki, które znosiły mu dzieci. Będzie czekał, aż ktoś zabłądzi w te rejony i zechce się podzielić z nim swoją porcją, którą dostał od ludzi z zewnątrz. Będzie cierpiał głód, ale może nie to było najstraszniejsze. Stanie się samotny, a tego przecież nikt nie zniesie. Te dzieci, przychodzące każdego ranka, wołające, aby się zbudził i opowiedział im o wodospadzie, zasłuchane w czarodziejskiej opowieści, złaknione fantazji, były sensem jego życia. Opowiadały mu o swoich sprawach, wciągały go w swoje życie, które się stało jego własnym. Teraz pozbawiony spraw, nikomu niepotrzebny będzie czekał na śmierć z głodu.

Gdyby tego dziecka nie było, gdyby umarło, nic nie uległoby zmianie. Tak łatwo zabić niemowlę, wystarczy położyć mu dłoń na ustach, ale jednocześnie tak trudno.

Przybiegł chłopiec, bardzo podekscytowany. Usiadł na brzegu łoża i wykrzyknął.

- To nie są ptaki!

Dziewczynka odwróciła zaciekawioną buzię, przerywając na chwilę pakowanie.

- To namioty.

Mężczyzna wiedział, że nadchodzą nieodwołalne zmiany. Ludzie z zewnątrz wreszcie podjęli decyzje. Tu w ruinach miasta czekali na to przez dwa pokolenia i nikt z siedzących na gruzach dawnego życia nie umiał zrozumieć, dlaczego nic się nie zmieniało. Nikt nigdy się nie dowiedział, dlaczego nie pozwolono im opuścić tego miejsca i nie wie również, skąd przyszły decyzje i jakie były. Zostali całkowicie uzależnieni od ludzi z zewnątrz i wcale nie podejrzewali, że może właśnie o to chodziło.

- Dla kogo są te domy? – zapytała z niepokojem dziewczynka, spoglądając spod opaski.
- Nie wiem – odpowiedział chłopiec.
- Nie wiesz?

Wbiła mu do głowy tę prawdę, usiadłszy na swoich tobołkach i przestając się pakować, bo przecież to nie miało sensu. Na pewno niczego im stąd nie pozwolą zabrać. Niczego nie mając, muszą wszystko utracić.

-

Z oddali dobiegła wrzawa i tupot wielu nóg.

- Już idą – powiedział chłopiec zaniepokojony. – Będą mieli do ciebie sprawę – zwrócił się do mężczyzny.

Wbiegła ich cała gromada. Byli obładowani różnymi rzeczami. Nieśli naręcza pudełek, po kilka toreb pod pachami i dźwigali przejrzyste butelki z kolorowymi płynami. W niektórych jednak płyn był przejrzysty i to przyciągnęło wzrok mężczyzny. Nie chciał wierzyć własnym oczom, że spotkało go takie szczęście.

Po raz ostatni przed śmiercią przeżył tak wielką radość. Tylko jak skłonić chłopców, aby mu oddali butelki?

Otoczyli go, porozsiadali się na kawałach betonu ułożonych w poprzek jak ławy, bo przecież tu się żyło. Jeden z nich, najwyższy i pewny siebie, oczywiście przywódca grupy otworzył usta, by zadać mężczyźnie pytanie będące rozkazem, gdy ten stał je jednym ruchem ręki.

- Wiem, o co chcesz zapytać. Bądź cicho, dziecko. Posłuchaj. Kiedyś tutaj było miasto, gdzie stały domy, a w domach wieczorami zapalało się światło i wszystkie dzieci miały swoich rodziców. Rodzice pracowali i za tę pracę otrzymywali pieniądze. Z tymi pieniędzmi udawali się do budynków takich jak te, które odkopaliście i otrzymywali pożywienie. Była to godna wymiana, inaczej niż teraz, gdy musimy brać to, co chcą nam dać ludzie z zewnątrz. W tych pudełkach, które macie, jest pożywienie. Wygląda jednak inaczej niż to, które otrzymujemy. Dlatego, że dawniej ludzie mieli wybór, a my teraz musimy spożywać to, czym chce nas karmić ręka świata. Jesteśmy zależni, pozostajemy całkowicie pod władzą. Utraciliśmy człowieczeństwo.
- Możemy to jeść? – wyrwało się małemu chłopcu, który siedział najbliżej mężczyzny.
- Może nam pokażesz? – rozkazał największy chłopak.

Mężczyzna tylko na to czekał, wyciągnął rękę i ujął butelkę z przejrzystym płynem. Przytulił do piersi i ogrzewał ją swym sercem, czując płynącą od niej siłę, która była potęgą marzeń człowieka.

- A teraz opowiem wam o wodospadzie.

Przywołał im barwy i wołania zwierząt. Pokazał szum wielkiej wody. A kiedy wszyscy siedzieli zasluchani, odkręcił butelkę i odwróciwszy ją, zaczął delikatnie wylewać.

– To jest wodospad.

Woda oblała twarz siedzącego najbliżej małego chłopca, a ten zdziwiony otworzył usta i pierwszy raz w życiu napił się prawdziwej czystej wody. Wtedy zaczęła się uczta. Dzieciaki otwierały butelki i piły prawdziwą wodę. Podawały sobie butelkę z rąk do rąk, usiadłszy w kręgu i każdy upijał po kilka łyków i podawał butelkę koledze, a potem przyjacielowi, a potem bratu. W ten sposób w tej gromadzie powstały więzi, a w hordzie wytworzył się rytuał i kultura, zbieranina zamieniła się w system.

Mężczyzna, widząc, że są gotowi do rzeczy większych, zapragnął dać im coś więcej. Podciągnął kołdrę i krzyknął – Czy chcecie się dowiedzieć, jak utraciłem nogi?

Dzieci spojrzały, ich wspólny duchowy ojciec siedział na kadłubie, podparty poduszkami. Jego nogi były odcięte prawie aż po pachwiny.

- Kiedy staliśmy na krawędzi skały, reporter robił film swoją kamerą. Zapragnął pokazać nasze obyczaje. Zapytał, czy jesteśmy wystarczająco

odważni, by rzucić się ze skały w srebrną mgłę i spłynąć z hukiem wodospadu aż do spokojnego nurtu. Mężczyźni popatrzyli na siebie i naradzali się szeptem. Trwało to dłuższą chwilę, a potem wystąpił mój ojciec. Powiedział, że jesteśmy ludem i działamy wspólnie. Nikt z nas nie jest lepszy ani gorszy, wszyscy jesteśmy równie odważni i każdy z nas jest gotów dźwigać odpowiedzialność za innego. Potem skoczyli po kolei w srebrną głębię, w przepaść bez dna, w wodę, w niewiadome.

Widziałem ich brązowe ciała przepasane na biodrach, nogi złączone razem i rozłożone ramiona jak skrzydła ptaków. Kiedy skoczył ostatni, a był nim mój ojciec, rozejrzałem się, byłem sam. Reporter klęczał na krawędzi skały i pochyliwszy się, filmował spadających. Widziałem mojego ojca, jak leciał, patrzyłem na innych, którzy już wypływali na spokojne wody i pomagając sobie wzajemnie, zbliżali się do brzegu. Nie mogłem być oddzielony od mojego ludu, byłem jego częścią, bez nich nie miałem znaczenia. Chciałem sobie również udowodnić, że jestem tak samo dzielni jak oni i mogę podejmować wielkie zadania. Zrzuciłem z siebie odzież, rozłożyłem ramiona i zamknąłem oczy.

Mężczyzna jednym ruchem ręki zakrył się kołdrą i zamilkł. Dzieciaki słuchały w milczeniu, otwierając oczy i marząc o wielkich czynach i wspaniałej odwadze.

Przejęci opowiadaniem i wzniosłym gestem mężczyzny, siedzieli w milczeniu. Mały chłopiec wpatrzony w dal rozszerzonymi oczami, nagle

otworzył pudełko z jedzeniem i zaczerpnąwszy z niego pełną garść, podniósł do ust i zaczął rytmicznie poruszać szczękami. Za nim poszli inni i słychać było szmer rozdzieranych kartonów, szelest torebek i chrzęsty. Najpierw jedli w milczeniu, ale po chwili zrobiło się bardzo wesoło. Ponieważ jedzenia było bardzo dużo i sami je zdobyli, więc nie czuli się jak bydło. Nie musieli wyciągać po nie rąk, czy też stać w upokarzającej kolejce i dostawać kijem po nogach, by wyrównać linię. Jedząc, łagodnieli. Mając obfitość, nie musieli na siebie szczyrzyć zębów. Tak z każdym kęsem rodziły się w nich zachowania ludzkie i społeczne. Była to wielka i ważna uczta. Każdy ruch, podanie pudełka z jedzeniem koledze, zachęta „spróbuj mojego” stawał się symbolem i krokiem ku ich ucłowieczaniu. Zamienili się na chwilę w ludzi jaskiniowych, którzy są rodziną i wiedzą, że muszą współdziałać, aby przetrwać. Byli jednocześnie ludźmi swojego czasu i dziećmi, które chciały mieć przyszłość. Czuli się wspaniale, zaczęli nawet śmiać się i żartować i życie stało się kotem, który na chwilę podwinął swe pazury.

Mężczyzna obejmował jedną ręką dziecko, troszcząc się, aby nie zsunęło się z łoża i aby nikt nie potracił go łokciem. Myśl o tym, że łatwo było zabić niemowlę, nie opuszczała go, gdyż był tylko człowiekiem, a nie świętym, za jakiego uważały go dzieciaki. Wiedział jednak, że niczego złego nie zrobi dziecku, wprost przeciwnie, będzie się starał zachować chłopczyka przy życiu.

Nie myślał o tym, że chłopiec z dziewczynką odejdą i pozostawią go. Teraz zyskał większą rodzinę. Był niezbędny dla całej grupy, która potrzebowała jego opowieści, by wzmocnić swego ducha i zamieniać w ludzi. Widział, że ma przed sobą wielkie zadanie do wykonania. I on zaczął marzyć o tym, że może życie wszystkich zmieni się na lepsze. Pomyślał również o tym, że dobry czyn, jakim było zaopiekowanie się dzieckiem, od razu przyniósł mu nagrodę. Dziecko jest zawsze nadzieją, i ta nadzieja dotyczyła również jego.

- Słuchajcie! – rzekł. – Słuchajcie!

Ale oni byli zbyt szczęśliwi, by przerwać ucztę.

- Musicie rozkopać inne pagórki – mówił mimo to mężczyzna. – W ich wnętrzu pozostało wiele użytecznych przedmiotów. Jest odzież i meble, jak również narzędzia. Staniecie się niezależni od punktów pomocy. – Przekrzykiwał ich, nie wierząc, że rozumieją, byli przecież rozbrykanymi dzieciakami na pikniku.

Tylko jeden chłopiec, najwyższy i mocno zbudowany zwrócił uwagę na słowa ojca. Przysiadł się bliżej i utkwiał w niego płonące źrenice.

- Mów – rozkazał.

Okazał się małomówny i stanowczy.

- Zostań ich przywódcą- zwrócił się do niego mężczyzna. – Rozkazuj i zorganizuj poszukiwania. Znajdziecie coś jeszcze cenniejszego.

- Co?

- Zmarłych. Waszych rodziców i dziadków i wiele pokoleń idących wstecz, w głąb czasu.
- Po co nam oni?- zapytał krótko chłopiec.
- Ona dają wam prawo do tej ziemi. Ponieważ w niej spoczywają, rozpadają się w proch, mieszają się z glebą, ona jest wasza.
- Tak, rozumiem.
- Ludzie z zewnątrz przygotowali białe namioty, chcą was do nich przenieść. To są ptaki przelotne. Zmieniają miejsce. Nigdzie nie będziecie u siebie.
- Zgadzam się z tobą.
- Nie możecie stąd odejść – przemawiał namiętnie mężczyzna. – To wasza ojczyzna.
- Pewnie. Z powodu tych prochów w ziemi – przytaknął chłopak.

Mompa, która siedziała w nogach łóżka, przewijając dziecko, zawiązała supełek z jego brzuszku. Odczepiła od swego dziwaczego stroju jeden z pasków i zawiązała go chłopcu na przedramieniu.

- Obronisz mnie, już się nie boję. – Przybliżyła twarz i odchyliła opaskę z oka.

Miała dwoje jasnych oczu, których głębia zdumiała przywódcę.

Podszedł do nich Halber i stanął obok przywódcy.

-Teraz wszystko zależy od nas.

-

Nagle jednak wydarzyło się coś, co zburzyło wszystkie plany i rozwiało miraż. Z oddali dobiegł odgłos maszyn, które wjechały na terytorium miasta. Takimi maszynami dysponowali tylko ludzie z zewnątrz. Odgłos narastał, robił się coraz głośniejszy i się zbliżał. Po chwili mury zaczęły drżeć i spadały duże bloki z betonu. Zaraz wszystko zawali się im na głowy, chłopcy wybiegli na ulicę, chwytając pudełka z jedzeniem, a mężczyzna pozostał i w prześwicie między ścianami wszystko dokładnie widział.

Nadjeżdżały ciemnozielone maszyny, na których siedzieli ludzie z zewnątrz. Mieli czarne mundury i białe gogle, które ochraniały ich od słońca i zamieniały ich w okrutne owady bez twarzy. Ponieważ mury się trzęsły, maszyny musiały się zatrzymać. Ludzie w czarnych mundurach zeskoczyli ze swych maszyn i ustawili się w szyku, z którego wynikało, że będą wyłapywać mieszkańców miasta i wpychać do maszyn i gdzieś wywozić.

Ich dowódca, który miał złote paski na mankietach munduru, wyszedł przed szyk i przyłożywszy do ust niewielkie urządzenie, rzekł potężnym głosem.

– Wychodźcie! Wychodźcie wszyscy i się ustawiajcie w szeregu! To jest strefa skażona! Wy również jesteście skażeni. Ustawiajcie się, poddamy was kwarantannie i będziemy leczyć. Pozbędziecie się choroby. Zamieszkacie w namiotach na terenie bazy. Na pewno was wyleczymy.

Żaden z chłopców jednak się nie poruszył. Przed nimi stał ich Przywódca z czerwoną taśmą zawiązaną wokół przedramienia. Zasłaniał ich plecami i oddzielał od obcych.

Za ciemnozielonymi maszynami jechały zamknięte i oszklone autokary. Przy oknach siedzieli ludzie w białych fartuchach, wiekowi mężczyźni w mundurach z wieloma medalami na piersi i wesołe wystrojone kobiety, w kwiecistych sukienkach, które traktowały tę przejażdżkę jako interesującą, choć nieco okropną, wycieczkę turystyczną. Powiedziano im, że na skutek działań chemicznych i promieniowania ludzie w mieście ulegli zasadniczym zmianom ewolucyjnym i praktycznie oraz teoretycznie i pod każdym innym względem już nie są ludźmi, lecz mutantami, których jak najszybciej należy się pozbyć, i to całkowicie. Są i tak skazani na zagładę, gdyż się nie rozwijają i nie tworzą kultury ani też nie są zdolni do samoorganizacji społecznej. Łaskawość świata, która pozwoliła im egzystować tak długo, jest już bezzasadna. Można jednakże na nich popatrzeć, prawda?

W tym momencie Przywódca dał znak i cała grupa ustawiła się w dwuszeregu. Chłopcy postawili przy nogach pudełka z jedzeniem, czyniąc to uważnie. Zamilkli i patrzyli w twarze siedzących w pojazdach i oddzielonych szybami. Chłopiec z czerwoną taśmą wyszedł przed szyk i powiedział, że on reprezentuje grupę i z nim należy negocjować.

Ta wypowiedź zmieszała ludzi w białych fartuchach, gdyż to oni perorowali przez całą drogę o tym, jakie to zmiany nastąpiły w tej hordzie. Starcy w mundurach i z medalami na piersi również poczuli się niezbyt pewnie, gdyż wcale nie zamierzali poddawać tych dzikich leczeniu, lecz dokonać ich szybkiej eksterminacji. Paniusie w kolorowych sukienkach poczuły się głupio, gdyż to

one nagle się zamieniły w mały w klatkach. Dziennikarze szeptali do mikrofonów i nakręcali sekwencje, które leciały w świat. Miały pokazać brawurową akcję Światowej Organizacji, która ratuje ludzkość od zarazy.

Z gruzów zaczęła powoli zstępować dziewczynka, trzymając w ramionach zawiniątko. Wyglądała zupełnie inaczej, bardzo spokojnie i poważnie. Wcale nie wrzeszczała, szła bez słowa, balansując stopami na kładce, łączącej gruzowisko z powierzchnią jezdni.

W ramionach niosła dziecko. Szła dzielnie i minęła stojących chłopców. Doskonale było widać małą sylwetkę na tle szarych i spalonych gruzów, naprzeciwko groźnych maszyn, ale nie pokazywała lęku.

- Co ona ma? – zapytał człowiek w mundurze ze złotymi paskami na mankietach.
- Może bombę? – wyraził podejrzenie adiutant. – Tu schronili się sami terroryści. Kiedy się zbliży do nas, naciśnie zapalnik i bum! Nie ma nas.

Złote paski podniósł ramię i grupa uderzeniowa w liczbie dwunastu chłopca podbiegła, waląc buciorami łupu, łupu, buch, buch i przyklęk, broń do oka, oko w lunetce, palce w rękawiczce na spuście. Ramię wciąż uniesione, czekają, aż opadnie, wtedy walną ze wszystkich rur do tej małej terrorystki.

Dziewczynka zstępuje powoli, ostrożnie stawiając stopy. Zachwiała się, lufy niżej, by nie stracić celu. Idzie znowu. Kiedy zeszła z gruzów i stanęła na jezdni naprzeciwko grupy uderzeniowej, uniosła rękę i zerwała opaskę z głowy. Na ten

ruch zawałało się ramię oficera ze złotymi paskami. Wtedy wszyscy zobaczyli, że ma dwoje oczu i jest ładna.

Odrzuciła opaskę daleko od siebie.

- Bomba, bomba!

Padł strzał, kula wyłupała dziurę w asfalcie, ale opaska nie wybuchła, gdyż to był kawałek starej ścierki. Dziewczynka przykucnęła ze strachu, ale nie wypuszczała niemowlęcia z objęć.

- Monstrualne – powiedziała jedna pani w ładnej sukience do drugiej pani. – Dzika istota. Nie zna cywilizacji.

- Bez kontaktu z ludźmi kulturalnymi – rzekła jej rozmówczyni, zasłaniając usta dłonią w rękawiczce.

- Znosi się na długą akcję, a mamy przecież bankiet z senatorem. Specjalnie przyjechał, aby wizytować piękne zakończenie akcji charytatywnej sił międzynarodowych.

- Czy to mówi, panie senatorze? – zapytała pani w ładnej sukience.

- Sprawdzimy, czy rozumieją ludzki język – powiedział mądrze i rzeczowo i szepnął właściwe pytanie oficerowi.

Złote paski ujął megafon i wrzasnął – Odłóż to na ziemię, daleko od siebie!

Rozstaw nogi, ręce za głowę!

Dziewczynka podniosła się z ziemi. Przez chwilę tuliła dziecko do siebie, potem zakryła mu główkę, by słońce nie zrobiło mu krzywdy, pocałowała je i położyła

przed sobą na asfalcie. Wszyscy skierowali swe oczy na zawiniątko, oczy przy lunecie.

- Adiutant! – ruch palca w kierunku żołnierza.

Ten więc idzie i pochyla się, ujmuje dziecko i powraca do oficera. Pochylają się, odwijają. Nie ma ubrania, jest nagie, odwracają na brzuch, pleckami do góry, i tu nie ma detonatora.

Nikt się nie odezwał ani nie poruszył. Po dłuższej chwili z autokaru wysiadła kobieta w kolorowej sukience. Jak odważna, a poza tym cóż za szlachetność.

- Patrzcie! Patrzcie! – rozległy się głosy.

Dziennikarze skierowali na nią swe kamery, a ona stąpała lekko w swych złotych pantofelkach, starając się, by obcasy nie wbijały się w rozmiękły asfalt, świadoma wlepionych w nią oczu świata.

- Czego potrzebujesz, dziecko? – zapytała wyciągając książeczkę czekową.

- Chcę książkę. Będę czytać.

Dama wzruszyła ramionami i z niezadowoleniem zamknęła okładkę książeczki czekowej. Bezlitosna kamera jeszcze chwilę ją obejmowała, ale właśnie podszedł pielęgniarz z sił pomocniczych. Był upośledzony, takich tu zatrudniano, by pokazać światu potęgę tolerancji i równych praw dla wszystkich ludzi, zresztą praca była mordercza i nie znajdowano wolontariuszy.

Jak każdy upośledzony, którego intelekt pracował na niższych obrotach, miał w sobie ciepło. Podszedł ze swą dużą torbą oznakowaną czerwonym kołem, by

nakarmić dziecko i zasłonić je od upału. Dziewczynka uniosła maleństwo z asfaltu i odprowadzona na bok przez sanitariusza usiadła na kamieniu. Obok zrobiła miejsce dla sanitariusza i wskazała je zapraszającym gestem, czego nie zaniedbał ująć swą kamerą niezależny dziennikarz.

Sanitariusz położył torbę na kolanach. Ponad czerwonym kołem widniało słowo POMOC. Dziewczynka spytała o nazwy liter.

- Po-moc – przesylabizowała, a potem uśmiechnęła się z radosnym zrozumieniem. – Po- most – pokazała kładkę, wiodącą w gruzy. – Po-tylica – uczyniła odgłos strzelania wskazując na tył czaszki. – Pokaż litery – wpatrywała się w znaki i zapamiętywała.

Potem, tuląc jedną ręką dziecko, drugą ujęła kijek i zaczęła pisać sylaby na miękkim asfalcie, a ograniczony sanitariusz, wtórował jej swoim he, he.

- Musicie się przenieść do namiotów – rozkazał trzy paski. – Są sterylne i nie będziecie rozsiewać chorób.

Przywódca chłopców zatoczył koło ramieniem, obejmując w posiadanie miasto.

- To nasza ojczyzna, nie potrzebujemy innej.
- Ojczyzna?! – pisnął adiutant. – Czy wie, co to znaczy?

Zapytał niegramatycznie, wzdragając się wskazać chłopca zaimkiem on.

- Tu są groby przeszłych pokoleń – rzekł dumnie chłopak. – Naszych przodków.

W tej chwili podeszła pani, która była wykształcona, o czym świadczyły płaskie obcasy i upięte włosy.

- Moglibyśmy uznać was za społeczeństwo, jako że macie szczątkową organizację. – Wskazała ruchem głowy chłopca i jego karnie stojący oddział. – Ale nie macie kultury, wierzeń, mitów i obrzędów.

W tej chwili najstarszy chłopiec stanął obok niego.

- Tam leży nasz przewodnik duchowy, który wzbudził w nas marzenia. Musicie posłuchać jego opowieści o wodospadzie i sile odwagi, którą ma każdy z nas. Posłuchajcie, jeżeli chcecie udowodnić nam, że jesteście ludźmi.

Byli przecież ludźmi, no nie?

- Mamy ojca i tam płynie wodospad naszych marzeń! – zawołała Momp. – Chodźcie, pokażę wam.

Zerwała się z kamienia. Narysowała patykiem strzałkę w miękkim asfalcie.

- To jest ulica Pomost – powiedziała, sylabizując i ryjąc litery.

Wtedy właśnie zasyczało i zawirowało powietrze. Z ziemi wyrwała się bomba próżniowa i robiąc dziurę w powietrzu, połykając tlen, poszybowała w górę, wchłaniając w siebie dwunastu dzielnych, którzy nie zdążyli zrobić tup, tup buciorami ani też bum, bum swoimi szybkimi strzelbami. Wessała w siebie oficera wraz z jego trzema paskami na mankiecie, zanim zdążył opuścić ramię i dać sygnał do strzelania. W górze rozwiały się również pojazdy opancerzone, którymi przyjechali, by spacyfikować miasto, kiedy już zabiorą mutantów,

upakowawszy je w wozach pod białymi plandekami, gdzie będą ich pilnować asenizatorzy w goglach. I była to właściwa kara, gdyż to przecież wojsko pozostawiło bomby próżniowe po działaniach wojennych, wiedząc, że nigdy nie da się ich usunąć z terenu miasta, tylko można je ogrodzić, odizolować i czekać, aż wybuchnie ostatnia.

I to była właśnie ta. Od ciśnień i wirów popękała ziemia i pokruszyły się rury kanalizacyjne. Woda uwięziona dotąd w głębi, gdzie zbierało się ciśnienie, wystrzeliła w górę, pienistym gejzerem, rozkładającym się jak wachlarz z mgły na tle błękitu. A potem zaczęła spadać na budynki i ulice szumiącym wodospadem, zalewając gruzy, wypłukując cegły i krusząc fundamenty. Zmywając świat i przeszłość.

Mężczyzna uniósł ramiona i zaczął recytować legendę o wodospadzie. Jego łózko stojące na wzgórku wyglądało jak samotna reduta. Uniósł się na swoim kadłubie, ramiona trzymał ponad głową i na cały głos recytował mit, od którego zaczął się ten świat. Mówił głośno i wspaniale, póki nie runęła na niego wielka fala. Porwała go, wyniosła w górę, bardzo wysoko, ponad ostre krawędzie gruzów. Wszyscy widzieli jego czarny kadłub i rozwiane włosy, a potem siła wodospadu rzuciła go w głębię. A on rozłożył ramiona i leciał w dół. Widział swojego ojca, który stał na kamiennych brzegu po drugiej stronie, gdyż już wypłynął. Obok niego stali wszyscy mężczyźni z jego plemienia i wyciągali ku niemu pomocne ramiona.

- Na pewno potrafię! – myślał.

Wyciągał swoje drobne ramiona dziecka ku ojcu, który je mocno pochwycił i nie pozwolił, by tym razem woda rzuciła go na skały i pokaleczyła mu nogi. Potem wszyscy odpłynęli w wodnej mgle.

Na miasto walił się potężny wodospad, splukując je i robiąc miejsce na nowe. Oszklone autokary zawróciły w pędzie. Panie w kwiecistych sukienkach ledwo zdążyły wsiąść. Dziennikarze zakręcili w pędzie, nie zapominając robić materiału. Woda zalała gogle asenizatorom, oślepieni, nie zdołali się uratować. Piana zmyła białe namioty, które płynęły, rozdymając się jak głupie gęsi. Popłynęły baraki, w których mieściły się biura i od tej chwili punkt pomocy światowej przestał w tym miejscu istnieć.

Dzieci się ukryły. Przyglądały się wodospadowi, który był ucieleśnionym marzeniem. Uwierzyli, że wszystko było prawdą, jak również opowieść o grobach przodków.

Kiedy po wielu dniach wodospad utracił impet, zabrały się do pracy. Pomagał im wolontariusz, który nie umiał wskoczyć wraz z innymi na samochód, tylko stał, gapiąc się z otwartymi ustami. Nauczył ich wielu pojęć, dając sobie radę o wiele lepiej, gdy musiał wyciskać z siebie wszystkie siły.

Kiedy przybyli inni ze świata. Wyszedł ku nim chłopiec. Miał na ramieniu opaskę. Po jego lewej stronie szła dziewczynka, tuląc niemowlę, a po prawej ja.

Czy mam wam opowiedzieć o tym, jak utraciłem obie nogi?